

## **Tomasz Sulewski: Hołownia, czyli smak marmite'u**

Historia Hołowni wpisuje się w jakiejś mierze w wielowiekową debatę na temat metody dotarcia do odbiorców Dobrej Nowiny



**Historia Hołowni wpisuje się w jakiejś mierze w wielowiekową debatę na temat metody dotarcia do odbiorców Dobrej Nowiny**

Szymon Hołownia od wielu lat jest jak marmite – dla jednych przepyszny, dla innych obrzydliwy, w ostatecznym rozrachunku jednak nie da się przejść obojętnie obok jego smaku. Podobnie jest i teraz, gdy jego odejście z „Newsweeka” stało się przyczyną krótkiej, ale intensywnej wymiany ciosów między różnymi „opcjami”.

Niejednokrotnie nie zgadzałem się z modelem działania dyrektora programowego religia.tv, uważając, że przyjęty przez niego styl mówienia o katolicyzmie przynosi w rezultacie więcej szkody i rozwodnienia, niż pożytku. On sam bez wątpienia jest człowiekiem inteligentnym i świadomym swojej wiary, jak również wagi kształtowania w oparciu o nią swoich postaw, jednak żyrowanie przez niego własnym nazwiskiem różnych projektów, które – w moim odczuciu – nie mają na celu ani wspierania Kościoła, ani nawet rzeczowej i uczciwej dyskusji, nieraz kazało mi stawiać pytanie o granicę pomiędzy naiwnością, dobrym sercem, a rolą pożytecznego idioty. Mimo to daleki dziś jestem od triumfalnego ogłaszania „powrotu syna marnotrawnego” i prób udowadniania, że nareszcie „łuski opadły mu z oczu – tylko czemu tak późno?”.

Odkładając na bok ocenę skuteczności Hołowni, trzeba obiektywnie przyznać, że wybrał sobie niełatwą przestrzeń do działania. W każdej wojnie – a przecież nikt z nas chyba nie zaprzeczy, że dookoła nas w jakiejś mierze odbywa się światopoglądowa wojna – potrzebne są jednostki, które operują na terytorium nieprzyjaciela. Tak też rozumiem misję publicysty – dotrzeć do tych, którzy na co dzień nie czytują „Gościa Niedzielnego”, nie mają przyjaciół wśród księży, nie pasjonują się społecznym nauczaniem papieża, a ich stosunek do Kościoła można nazwać delikatnie nieufnym i zdystansowanym. Aby to się jednak stało, potrzebne są inne metody działania, niż przy frontalnym ataku – więcej sprytu, czasem kompromisu, ale też wyrozumiałości dla niewiedzy czy ignorancji drugiej strony. Taką też taktykę przyjął Hołownia – więcej tłumaczyć, dyskutować, działać na miękko, za to robić to otwarcie i w tych miejscach, gdzie ludzie już są (stąd jego obecność w TVN czy „Newsweeku”, traktowana zapewne jako wychodzenie na agorę). To niełatwy sposób postępowania, bo narażony

na krytykę z różnych stron. Jedni będą zarzucać nadmierną ugodowość (niejeden przypadek „otwartości” tak daleko posuniętej, że aż owocującej transgresją dowodzi, że nie jest to obawa zupełnie bezpodstawna), inni domagać się będą uległości idącej jeszcze dalej („skoro już tak jest otwarty, to mógłby otworzyć się jeszcze bardziej”), a jeszcze inni sprowadzą wszystko do potrzeby „nabijania kabzy” i instrumentalnego wykorzystywania religii.

Historia Hołowni wpisuje się w jakiejś mierze w wielowiekową debatę na temat metody dotarcia do odbiorców Dobrej Nowiny. Rozważania o tym, czy lepiej jest tłumaczyć, czy narzucać, nadstawiać policzek, czy oddawać, walczyć, czy przyjmować w pokorze ciosy, czy Kościół ma być otwarty na świat i jak ta otwartość powinna się wyrażać, są stare jak stara jest historia chrześcijaństwa. I trwać będą pewnie do końca świata – podobnie jak wszystkie inne dyskusje wokół formuły komunikacji. To co jednak dla mnie osobiście ważne i co mnie cieszy, to fakt, że niedawny jeszcze publicysta „Newsweeka” przez lata poruszania się po mało przyjaznym katolikom gruncie nie zatarł w sobie granicy przyzwoitości, a jego zerwanie z tygodnikiem jest dowodem na to, że można, także na co dzień operując „na salonach” zachować w sobie przyzwoitość i nie dać się porwać „salonowemu” nurtowi i blichrowi. Nie płacić cnotą za przyjemność bycia znanym, lubianym i cytowanym. To ważna nauka i przestroga dla tych wszystkich, którzy podobnie jak Hołownia, definiują siebie jako „miękki głos Kościoła”. Wyrozumiałość i empatia muszą mieć swoje granice, jeśli sól ma zachować swój smak.

Nie wierzę osobiście, by Hołownia zmienił teraz swój sposób myślenia o świecie i zaczął nagle pisać felietony do „Naszego Dziennika”, stawiając sobie za cel „umacnianie braci”. Po chwilowym szoku znajdzie sobie pewnie nowe miejsce, z którego będzie mógł prowadzić dialog ze światem w swoim stylu. I choć spodziewam się, że jeszcze nie

raz zdarzy się nam skrzyżować szable w konkretnych sprawach, to w zupełnie nowy sposób będę cieszył się z tego, że będzie on obecny w publicznej debacie. Będę bowiem miał świadomość, że jest to spór o strategię działania, ale prowadzony w obrębie własnego sztabu, a nie walka po dwóch stronach barykady.

*Tomasz Sulewski*